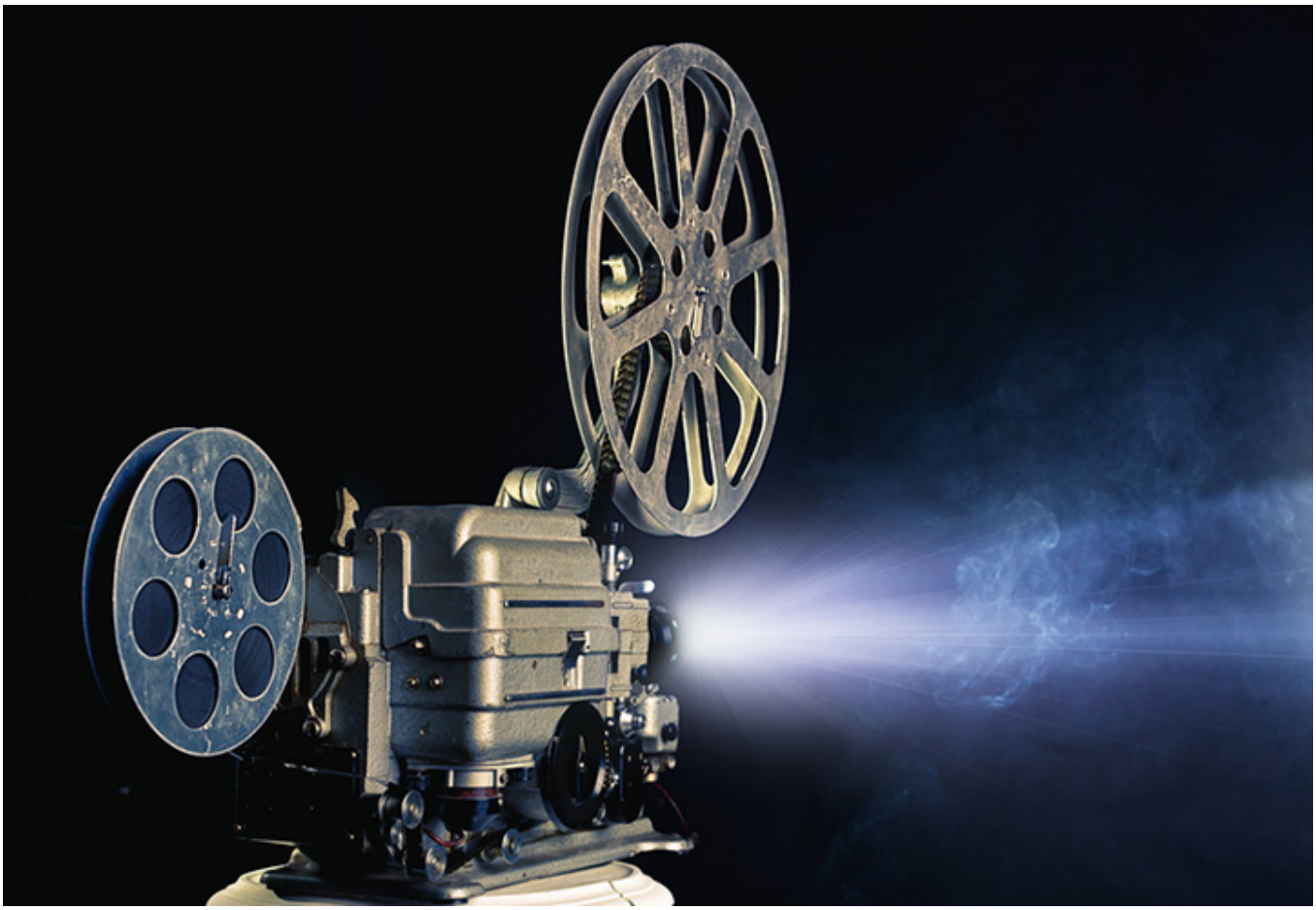
Objazdowe kino



Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Z początku pojawiał się on, najczęściej na motocyklu, w podniszczonej czarnej skórzanej kurtce i przekrzywionym na bok berecie, sypiący dowcipami i uśmiechnięty, obiekt zazdrości

chłopców i westchnień dziewczyn.

Niektórym z nas podawał rękę, co było szczególnym wyróżnieniem, potem najbardziej zaufanym wręczał cienkie rolki papieru. Były to afisze, na których chemicznym ołówkiem, zamaszyście i z wykrętasami wypisano nazwę filmu. Wyruszaliśmy rowerami z nimi w różne strony i już wkrótce afisze widniały na przystanku autobusowym, przy sklepie, a także na studniach, słupach i płotach.

Po południu z miasta nadjeżdżał samochód, który pod pustą stodołę przywoził sprzęt i metalowe pudełka z filmem. Kinomechanika osaczali stali bywalcy, mężczyźni, którzy częstowali go papierosami i wódką. Na olbrzymią, co najmniej stuletnią lipę, wciągaliśmy skrzynie z głośnikami, podłączone do wzmacniacza – po czym rozpoczynał się wielki koncert.

I płynęły melodie w ciepłe niedzielne popołudnie ponad dachami chat, sadami, zgarbionymi od ciężaru dojrzewających jabłek i ogrodami, pełnymi wonnej maciejki. Były to dźwięki o magicznej sile – przywoływały ludzi na ganki, niektórzy wynosili zydle przed domy, zbierali się grupkami. Muzyka wyzwalała żarty, sprzyjała snuciu rozmów, czyniła nastrój świątecznym. „Cicha woda”, „Wiśniowy sad”, „Dzieci Pireusu”, „Besame mucho” – to tylko pierwsze z brzegu tytuły największych przebojów z tamtych lat. Były one puszczane po kilka razy z rzędu – dziewczyny tańczyły

ze sobą, a chłopcy je zaczepiali z papierosami w zębach, śmiejąc się i czyniąc głośne uwagi.

Płyty puszczał największy po kinomechaniku specjalista – chłopak, który przyjeżdżał do krewnych z miasta. Głuchy na wszelkie prośby, konsekwentnie realizował swój repertuar, zresztą dużego wyboru nie było. A tymczasem przy wejściu do stodoły na stojaku stał już zmontowany projektor, na przeciwległej ścianie jaśniało prześcieradło ekranu. Powoli zapadał zmrok, chowające się za horyzontem słońce gubiło ostatnie promienie, ale niebo było jeszcze jasne.

– Zaczynaj, zaczynaj! – rozlegały się głosy przed stodołą. Ze wszystkich stron na rowerach i motocyklach, pojedynczo i grupkami wciąż napływali ludzie. Kinomechanik jeszcze kilkakrotnie pytał o godzinę, potem w towarzystwie swych pomocników zaczął wypraszać z „sali” niecierpliwych: rozpoczynała się sprzedaż biletów. Powstawał z tym pewien mankament, bo ciągle ich brakowało i trudno było określić, kto już płacił, a kto nie. Zwiększało się grono pomocników, które też nie kwapiło się do płacenia, długo pomocnicy wyliczali swe zasługi i zwlekali. W dodatku stodoła była nieszczelna… Tłumy napierały, domagano się filmu, muzyka już nie grała. Szczęśliwcy usadawiali się w najlepszym miejscu – w pobliżu ekranu. Kiedy wszystkie ławki zostały zajęte, siadano gdzie się tylko dało – na skrzyniach i różnych pudłach, kawałkach desek, wreszcie na

toku, to jest na ubitej ziemi. Sprytniejsi wdrapywali się wysoko aż pod dach – na belki i rozłożone na nich drągi, lokowali się na mocowaniach stodoły. Mistrz wieczoru machnął w końcu ręką na wchodzących na gapę i zakrzątał się przy aparaturze.

I oto zgasła jedyna żarówka, zawieszona wysoko na drucie. Jak świętojańskie robaczki rozjaśniały ogniki papierosów wbrew surowemu zakazowi palenia. Przez moment było tak cicho, że słychać było odgłosy szczekania psów, potem rozległ się chichot, szybko zagłuszony przez gwizdy i tupanie nogami. Ktoś krzyknął: „Majstra na mydło!" – i w stodole zapanował nieopisany rozgardiasz. Ale oto smuga światła prześlizgnęła się ponad głowami, przesączając się przez kłęby dymu i rozbłysła na ekranie. Ostrość obrazu pojawiła się nie od razu, lecz nie była to sprawa istotna – wszak na napisy i tak nikt nie zwracał uwagi. Po chwili wszyscy żyli losami bohaterów filmowych, a troski ulatywały gdzieś daleko – i nie daj Boże, żeby się urwała taśma!

Siedzieliśmy z zapartym tchem blisko ekranu, a przed nami snuł się świat daleki i wyśniony, w którym tak wiele się działo! Jakimże kontrastem wydawał się on wobec dusznej stodoły, w której mieszały się zapachy taniej wody kolońskiej i siana, samogonu i cebuli, potu i łuskanych pestek… Ta dziwna mieszanina zapachów kojarzy mi się jednak dzisiaj z niekłamanym urokiem objazdowego kina. Kina, które zawsze miało happy end.

Bądź przygotowany. Wiersze.



Florian Śmieja *(Mississauga, Ontario, Kanada)*

MEMENTO MORI

Moja żona ma mi za złe to moje

zabieranie się do odejścia. Przecież

milczenie o nim sprawy nie oddali

może daje komfort niepamiętania

o egzystencjalnych mieliznach, którymi

usłane jest życie, a których i tak

nie wyminiemy. Lecz *„memento mori”*

jest zazwyczaj raczej niepopularne

i ambiwalentne jak już stwierdziła

święta Teresa w swych pamiętnych wierszach.

KASOWANIE

Niebanalną zaletą internetu

jest bezdenny kosz przez jedno kliknięcie

uruchamiany. To w nim szybko kończą

niepożądane przesłania upartych

korespondentów oszczędzając czasu

oraz fatygi pokwitowania bzdur.

To on skutecznie broni przed zalewem

głupoty zagwarantowanej ponoć

w konstytucji prawem demokratycznie

wszystkim ludziom bez żadnego wyjątku.

Przecież już Dickens nazwał prawo osłem.

ZALETA CZEKANIA

Umiejętność czekania to zaleta

chwalebna w nerwowym trybie wydarzeń

codziennych, to znakomita odtrutka

na zgiełk i hałas dziś nam serwowany

powszechnie i z jawną premedytacją.

Wrogowie ciszy już nie mają

za grosz cierpliwości przeto pośpiech

pochłonął ich człowieczeństwo, zaraził

maszyną a ta jak pociąg z daleka

wiadomo, że na nikogo nie czeka.

CELOWOŚĆ NATURY

Starość uczy awaryjnego trybu.

Zwichnięte lewe ramię zastępuje

pomocne prawe. Nogom pomagają

chwytne ręce, bezpieczne poręcze,

kij czy laska chronią przed upadkiem.

Samoobrona organizmu budzi

respekt i jest dobrym przykładem wielkiej

mądrości wyrozumiałej natury.

BORGES SENIOR

Już Borges wiedział, co to jest wysoki

wiek, w którym każde przedsięwzięcie z nocą

już graniczyło i było przygodą

tak tajemniczą jak wszechświat.

Ktoś taką wrażliwością obdarzony

nie może odejść i przepaść bez śladu

bez pozostawienia nam drogowskazów

jak się znaleźć w magicznych labiryntach

oferowanych przez bogatsze życie.

Chociażby misternej nitki Ariadny

LIKWIDACJA KONTA

Każda noc jest próbą bezbolesnego

przemieszczenia się na widny brzeg świtu.

W kokonie ciepła gwarantującym start

świadomości budzimy się z letargu

by zmobilizować rezerwy jeszcze

dyspozycyjne do podjęcia zadań

nadal pilnych i czekających woli

zlikwidowania otwartego konta

a to wszystko dla świętego spokoju

uznanego za ostateczne dobro.

BĄDŹ PRZYGOTOWANY

Choć perfekcyjne rozwiązanie quizu

rano pocieszy jako dobry omen

zabieraj się za dzień i obowiązki

> spełń bez szemrania, ciesz się, że masz cały
>
> aby im podołać. Codziennie bliżej
>
> do kresu. Nadejdzie. Nie twoją
>
> sprawą jest termin: bądź przygotowany.

Florian Śmieja, poeta, iberysta, ur. 1925 w Kończycach, zm. 2019 w Mississaudze.

Leszek Moździerz-

Monico. Z satyrą i humorem przez życie.

Leszek Moździerz-Monico *(Austin, Teksas)* nauczył się pisać po polsku dawno temu w Gorzowie Wielkopolskim. Od dziecka zafascynowany podróżami postanowił studiować handel zagraniczny (na dawniejszym SGPiS-ie) w Warszawie. Tuż przed stanem wojennym w poszukiwaniu wielkich przygód wyjechał do USA. Po przeżyciu pięciu zim w Chicago, w czasie których nauczył się programowania komputerowego, przeniósł się do San Diego w Kalifornii. Na tamtejszym uniwersytecie „w poszukiwaniu" magistra znalazł także swoją żonę – Cecylię, pochodzącą z Republiki Salwadoru. Owej czarnulce zawdzięcza drugą część nazwiska, dwie dorodne córy oraz nauczenie się języka Cervantesa.



Czyżby herbata była afrodyzjakiem? Leszek i Cecylia.

Oprócz podróży, fotografowania i dokumentowania ich na Instagramie (http://www.instagram.com/humorous_travelers), Leszek ma parę innych koników. Od dziecka uwielbia rozwiązywać krzyżówki oraz zadania szaradziarskie, takie jak kalambury, anagramy, metagramy i homonimy. Sam je też układa. Od dwóch lat współpracuje z miesięcznikiem „Szaradzista”, gdzie opublikował 30 rymowanych zagadek. Układanie rymów sprawia mu dużo frajdy, jest to,

bowiem swojego rodzaju łamigłówka.

Leszek napisał także sporo satyrycznych wierszy, fraszek i aforyzmów, z których kilkanaście zostało wyróżnionych w Ogólnopolskim Konkursie na Aforyzm i Fraszkę „Satyrbia” (w latach 2016-19) i wydrukowanych.

Co jeszcze motywuje Leszka do jego twórczości pisarskiej? Chyba chęć podzielenia się swoim dość bogatym doświadczeniem życiowym (Gorzów Wlkp., Warszawa, Chicago, San Diego, Krzemowa Dolina, Austin), udanym życiem małżeńskim, rodzinnym i zawodowym, a także swoim wiecznym optymizmem i poczuciem humoru.



Sorry kuzyn – jestem uczulony na jajka.

Zapraszamy do lektury zaczynając od prologu autora do nie wydrukowanej (jeszcze) książki:

> **Wstępna Gadka**
>
> Drogi Czytelniku, w ręce składam Twoje

wszystkie rymowane te tu myśli moje.
Nie jest to poezja z żadnej górnej półki
w stylu Słowackiego czy Stana ”Jaskółki”.

Siądź przy kubku kawy lub przy lampce wina
i o pracy, stresie, proszę zapominaj.
Śmiej się głośno, kiedy znajdziesz coś śmiesznego.
Lecz jak nic nie znajdziesz – zarżnę się kolego!

Nie chcesz mych sto kilo dźwigać na sumieniu,
proszę więc o uśmiech w żony mej imieniu!

Poprawę obiecuję… chyba, że…

Niejedno dziś mam postanowienie –
całą litanię z początkiem „że nie..”

Że nie napiję się alkoholu
na tyle, żebym jechał na holu.

Że jadł nie będę białego chleba,
jak już – to tylko ile potrzeba.

Że się nie prześpię z inną niewiastą –
bo tylko frajer wtedy by zasnął.

Nie pójdę z obcą kobietą w tany –
najpierw się bliżej z nią zapoznamy.

Że nie okłamię już żony nigdy
„że wszystkie inne dawno mi zbrzydły”.

Że nie opuszczę ćwiczeń w siłowni,
ale gdy ktoś mi o tym przypomni.

Że nie podniosę głosu wysoko
chyba, że nic nie wskóram na spoko.

Że nie pokłócę się nigdy z bratem –
zawsze unikał go będę zatem.

Że się nie spóźnię nigdy do pracy –
chyba, że żona z rana uraczy.

Że nie podniosę na syna ręki –
chyba, że da mi większe udręki.

Że się nie oddam w hazardu szpony –
jeżeli już to z pieniędzmi żony.

Nie będę sługą telewizora –
jeżeli już to – tylko z wieczora.

Nie będę w żywe oczy już kłamać –
przecież telefon po to jest, psia mać!

Wszystko to zrobię, nie wyjdę z tłumu –
chyba, że… znajdę więcej rozumu.

Licytacja – czyli co się w życiu liczy

Już dawno minęła komunizmu władza,
która to nas wszystkich do dołu ‘zrównała’.
Dziś jednak niektórych tak forsa rozsadza,
że z dumy aż pęka ta dziewczynka mała:

– Znowu jest u mamy w salonie parada,
bo kupiła właśnie nowe buty Prada.

A druga dziewczynka się na to zdumiała,
i taką to szczerą odpowiedź jej dała:

– Moją na to nie stać, tu nic nie poradzę –

ona kupi wszystko na targu na Pradze.

– Tatuś mój w zegarkach Bulgari gustuje.
– Mój bułgarskie wino pije często z wujem.

– Rodzice kupili nowe Maserati.
– Moim się udało Mazdę wziąć na raty.

– Kanary zwiedziłam za dobre oceny.
– A mnie to fundnęli kanarki z przeceny.

– Moja ciocia Klara ma swego kierowcę.
– A moja podobno zeszła na manowce.

– Wujek umie pięknie grać na fortepianie.
– Mój wie jak pogrywać by mieć piękne panie.

– Moja babcia kiedyś śpiewała w La Scali.
– A moja ma jedno bioderko ze stali.

– A mój dziadek wygrał kiedyś w totolotka.
– Mój mówi, że wygrał, kiedy babcię spotkał…

Bogata dziewczynka na długo zamilkła.
Już nie wie czym jeszcze by zaimponować.
Żeby ją pocieszyć ta druga dziewczynka

dla zmiany zaczęła narzekać w te słowa:

– Reksio nasz to urwis, i szczeka na ludzi.
– Psa nie chce mamusia, bo mówi, że brudzi.

– Brat wciąż mnie przezywa – „jesteś brzydka kaczka”.
– Fajnie, że masz brata, jestem jedynaczka.

– Tato grą przynudza w szachy po kolacji.
– Mój to nie ma czasu – stale w delegacji.

– Mama robi tacie bury niesłychane.
– Moja się spotyka czasem z innym panem.

– Dziadek tylko siedzi ciągle na kanapie,
Słucha głośno radia, albo głośno chrapie.

– Ja mojego dziadka bardzo rzadko widzę.
Bo do Domu Starców chodzić to się wstydzę…

Znane to dorosłym – wiedzieć muszą dzieci –
że *nie wszystko złoto co się pięknie świeci*.

Obieży-świat czy Obejrzy-świat

Podróże kształcą – dobrze to wiemy,
Lecz tak za często w świat się nie rwiemy.
Wymówek zawsze mamy bez liku.
Stąd ciągle Zero jest na liczniku

Nie chce się ruszyć, wygodnie w domu
Nie trzeba forsy bulić nikomu.
Bo czy to hotel czy restauracja,
Paliwo, show – inna atrakcja,
Rachunek mogą wystawić spory.
A nam tak szkoda naszej kasiory.
Do tego jeszcze wszystkie papiery-
Paszport i wizy, pieczątki cztery.

– Gadajom wszędzie nie po naszemu
Jedzom zupelnie też po innemu
Ja tam oglondnem western na tele
O Hameryce dowiem sie wiele
Widziołem filmy o samurajach
To jakbym był już w tych chińskich krajach
Po co po świecie jeździć? – mój Boże
Mnie tylewizor wykształcić może!



Czasem, aby doznać czystej rozkoszy, trzeba się ubrudzić.

Szelma wdowa

Jarosław Abramow-Newerly *(Toronto)*



Jarosław Abramow-Newerly, fot. arch. autora

Fragment niepublikowanej nowej książki Jarosława Abramowa-Newerly'ego „Ich lwi pazur".

Po przeniesieniu się z Poznania do Warszawy Włodek z rodziną zamieszkał na Muranowie w małym mieszkanku na Nowolipkach. Jego żona Janina, zwana Inką, nie pracowała i zajmowała się domem. Mieli małą, trzyletnią córeczką Kasię, na którą wołali Katka. Katka była śliczną blondyneczką o zadartym nosku trochę podobna do Włodka. Bardzo mi się podobała i żartowałem, że jak dorośnie to się z nią ożenię. Katka wzięła to bardzo serio, a jak Włodek ze mną przychodził to od progu wołał: – Inka! Zięć przyszedł. Zaparz nam herbaty! Włodek uwielbiał Katkę. Pragnął mieć więcej dzieci, ale Inka nie chciała o tym słyszeć. Ledwie zgodziła się na to jedno. Włodek bardzo nad tym bolał. Inka pochodziła z zamożnej rodziny Bystrzyckich, jej ojciec po wojnie był tak zwaną prywatną inicjatywą i zajmował

się w swojej willi w Poznaniu hodowlą pieczarek. Nie był specjalnie zachwycony, że jego młodsza córka wyszła za mąż za chudego literata. Przyjął to jednak do wiadomości. Ambitny i dumny Włodek znając wymagania teścia tym bardziej chciał mu pokazać, że nie jest takim chudym literatem jak on myśli i potrafi swojej rodzinie zapewnić godziwy byt. Inka miała jeszcze starszą siostrę Renię i młodszego brata Bolka. Ich matka była z arystokratycznego rodu hrabiów Sczanieckich, tych samych, co słynna hrabina Emilia Sczaniecka herbu Ossoria, która niosła pomoc rannym żołnierzom w czasie powstania listopadowego. Ten zasłużony ród pochodził z miasteczka Sczaniec w Wielkopolsce. Włodkowi bardzo imponowało to pochodzenie i z dumą podkreślał nazwisko: – Hrabina Sczaniecka nie Szczaniecka, czowieku, ze Sczańca nie Szczańca. Tym razem dykcję miał bezbłędną i zniknęła wymowa poznańska z której tak kpiłem. Inka nudziła się będąc sama w domu i jak przychodziliśmy to z ciekawością wypytywała mnie co nowego w radio i tak zwanym środowisku. Być żoną pisarza to nie jest łatwy kawałek chleba. Nie dziwiłem się jej. Była młodą, ostrą brunetką o kocim spojrzeniu szarych oczu i spragniona była towarzystwa, a Włodek prowadził bardzo monotonny tryb życia. Rano wychodził do pracy, a jak wracał to zjadał kolację i zasiadał do pisania. Pisał do późna w nocy. Już wtedy miał imponujący dorobek literacki. Wydał świeżo „Kwarantannę", a wcześniej „Białe lato" i „Miejsca nawiedzone". Teraz był w trakcie pisania powieści „Zmierzch świata". Był laureatem

prestiżowej nagrody młodych imienia Tadeusza Borowskiego. Borowski autor wstrząsających opowiadań oświęcimskich „Pożegnanie z Marią" i „Proszę państwa do gazu" zmarł śmiercią samobójczą w 1951 roku. Myślę, że ta prestiżowa nagroda jego imienia pomogła Włodkowi w przeniesieniu się do Warszawy i otrzymaniu posady w radio.

Często do Odojewskich przyjeżdżała z Poznania siostrzennica Inki Hania, córka Reni z pierwszego małżeństwa. Renia miała chyba oprócz ojca Hani bodajże jeszcze dwóch mężów. Hania była wtedy piętnastoletnią dziewczyną dość ładną o trochę pucołowatej twarzy. Jak Włodkowie wyszli do kuchni, a Katka już spała i zostaliśmy sami, Hania wyraźnie zaczęła mnie uwodzić. Zbliżyła się do mnie blisko twarzą, patrzyła wyzywająco w oczy i wyraźnie czekała, żebym ją pocałował. Na szczęście z tej kłopotliwej sytuacji wybawił mnie Włodek, który wszedł do pokoju. Obydwoje Odojewscy bardzo lubili Hanię, a Włodek jej trochę ojcował. Znali ją od dziecka.

Włodek bardzo przeżył wydarzenia poznańskie w czerwcu 1956 roku. Pracował wtedy jako dziennikarz i był na miejscu wypadków. – W prosektorium widziałem zwały trupów, kochany. Pomordowanych robotników z Zakładów Cegielskiego i zwykłych przechodniów. Leżeli w wannach w formalinie. Przerażający widok. Władze to wszystko ukrywały. Robiłem na gorąco notatki, bo chciałem to kiedyś opisać. Te notatki mam

w swoim archiwum – mówił. W geście protestu wystąpił z partii w 1957 roku, za co wyrzucono go z pracy w „Tygodniku Zachodnim”.

Wszystkie świeżo napisane rozdziały najpierw dawał do przeczytania Ince, z której zdaniem bardzo się liczył. Ona była pierwszą czytelniczką i jeżeli coś jej się nie podobało to Włodek zmieniał i poprawiał. Fragmenty swojej prozy drukował w tygodniku „Współczesność” , z którym był związany. Miał tam wielu kolegów i przyjaciół, którzy odwiedzali nasz redakcyjny pokój. Mnie bardzo podobały się rozdziały „Kwarantanny”, które dał mi do przeczytania. Miałem tylko jedną uwagę. Namawiałem go, żeby bardziej konkretnie umiejscawiał akcję powieści. Dotyczyło to głównie nazw miejscowości. Żeby było wiadomo gdzie to się dzieje, a nie wszędzie czyli nigdzie. Chodziło o opis naszych Kresów. Włodek trochę ze względu na cenzurę odrealniał ten tekst, ale teraz powiedział, że pójdzie na całego. No i poszedł.

Raz na tydzień odbywały się u dyrektor Aliny Szenwaldowej kolegia, na które zapraszani byli kierownicy wszystkich redakcji literackich. A było ich naprawdę wiele. Nasze redakcje słuchowiskowe, redakcja adaptacji radiowych, redakcja prozy, redakcja poetycka, redakcja reportażu dźwiękowego i literackiego, redakcja „W Jezioranach”, nowej powieści radiowej rozgrywającej się na wsi, wreszcie redakcja satyry i humoru.

Ta ostatnia mieściła się na drugim piętrze i zatrudnionych w niej było wielu znakomitych humorystów i satyryków, dość, że wymienię twórcę radiowego kabaretu „Szpak” , opiekuna naszego studenckiego teatru STS, Zenona Wiktorczyka, znanego powszechnie z popularnej audycji „Podwieczorek przy mikrofonie”, Jeremiego Przyborę, Ludwika Górskiego, Henryka Bardijewskiego i wielu innych. Radio na Myśliwieckiej to było wtedy imperium, które szczyciło się swoją artystyczną odrębnością i śmiało konkurowało z radiem przy ulicy Malczewskiego, w którym urzędowali prezesi Radiokomitetu i był tam dział publicystyczny, zwany realizacją. A Alina Szenwaldowa była w tym imperium żelazną damą, która twardo rządziła tu od wielu lat. Była przedwojenną ideową komunistką, żoną bohaterskiego poety żołnierza Lucjana Szenwalda poległego na froncie
w 1944 roku. Jego imienia były szkoły i ulice w Polsce. Myślę, że właśnie złośliwcy z redakcji satyry i humoru ukuli o niej nazwę Szelma Wdowa.

Szenwaldowa była wtedy kobietą po pięćdziesiątce, bardzo wysoką i potężnie zbudowaną. Do jej gabinetu na naszym pierwszym piętrze wchodziło się przez sekretariat, w którym urzędowała wierna sekretarka młoda i ładna Lusia Abolnikow. Alina Szenwaldowa z racji swojej funkcji bardzo dużo czytała i interesowała się młodymi pisarzami, których chciała za wszelką cenę przyciągnąć do radia. Była krótkowidzem i jak

czytała tekst to przykładała go blisko oczu. Bardzo nas młodych lubiła i w gabinecie odkładając tekst od oczu przyjaźnie witała: – I co nowego, chłopcy? Mówcie śmiało – pytała. Starała się być dla nas dobrotliwą ciocią i wiele spraw mogliśmy z nią załatwić. To ona, zaraz po moim przyjściu do pracy, namawiała mnie, żebym zrobił coś takiego jak w STS-ie. Za jej zachętą przestawiłem istniejącą już audycję Radiowy Teatrzyk Miniatur „Zwierciadło" na te esteesowskie tory. Tylko zamiast humorystycznych skeczów nadawałem miniatury literackie poprzedzielane piosenkami. Zamawiałem je u kolegów młodych pisarzy. Do „Zwierciadła" pisali teksty Janusz Krasiński, Ireneusz Iredyński, Marek Nowakowski, Andrzej Krzysztof Wróblewski i wielu innych. Pisali chętnie bo dopingował ich bodziec finansowy. Świetnie i szybko wypłacałem honorarium, które wynosiło wtedy za każdą miniaturę 300 złotych. Zaraz po nadaniu audycji szli z kwitem do radiowej kasy przy ulicy Noakowskiego i pobierali pieniądze.



Włodzimierz Odojewski, 1955 r., fot. arch. W. Odojewskiego

Teksty piosenek do „Zwierciadła” pisali Agnieszka Osiecka, Edward Fiszer, Jerzy Sułkowski, Włodzimierz Słobodnik, muzykę zaś do niej komponowali moi przyjaciele z STS-u Marek Lusztig i Edward Pałłasz. W „Zwierciadle” debiutował w radio młodziutki Wojciech Młynarski. Jego piosenkę napisaną wspólnie z kuzynem Romanem Orłowem przyniosła do mnie do redakcji jego mama – Magdalena Młynarska, która występowała w radio w audycjach dla dzieci razem z moją Mamą. Również znana

później kompozytorka Katarzyna Gaertner pierwszą swoją piosenkę nagrała w „Zwierciadle”. Na tych kolegiach u Aliny Szenwaldowej zatwierdzano plany poszczególnych redakcji. Każdy kierownik redakcji mówił co zamierza zrobić, a Alina Szenwaldowa na ogół dość łatwo to akceptowała. Często namawiała nas na zrobienie adaptacji książek, które przeczytała lub próbowała wprowadzić do radia pisarzy popieranych przez władze.
Kiedy wymieniała nazwisko takiego ulubieńca reżimu Włodek nie wytrzymywał i wykrzykiwał: – Ależ to potworny grafoman, pani Alino! Nie da się go czytać. – Ja wiem, panie Włodku, ale może można by było go jakoś przerobić. Dobrze by było bowiem dla radia żeby zaistniał na antenie – dawała lekko do zrozumienia, że ją z góry naciska o to kierownictwo.

Włodek nie krył swoich przekonań i niezależnej postawy. Czasem wybuchał zbyt szczerze tak, że ja go hamowałem. Pamiętam raz na takim kolegium Alina Szenwaldowa zaczęła narzekać na kolejki w aptekach i w sklepach. – To nie do wytrzymania! – użalała się. Włodek jej przerwał i wypalił: – To wy komuniści wprowadziliście w 1949 roku tak zwaną bitwę o handel. Przedtem kolejek nie było i nie „czeba” było rzucać towaru do sklepów. To pani towarzysze tak nas urządzili. Do nich niech pani ma pretensje, pani Alino! – swierdził.

W duchu zadrżałem i czekałem co będzie dalej. Ale Alina

Szenwaldowa dobrotliwie uśmiechnęła się i polubownie powiedziała: – Już dobrze, panie Włodku. Nie mówmy o handlu. Jakie słuchowiska pan ostatnio nagrał? – zmieniła temat. Miała dobry gust literacki i ceniła bardzo Włodka jako wybitnego pisarza i świetnego redaktora, który w krótkim czasie rozwinął dział słuchowiskowy do niebywałych rozmiarów. Zaczęto mówić o polskiej szkole słuchowiska radiowego. Do pisania słuchowisk Włodek zachęcał pisarzy z całego kraju. Dbał o tych, którzy byli w biedzie i potrzebowali finansowego wsparcia. Na przykład bardzo cenił Stanisława Swena Czachorowskiego, trudnego awangardowego poetę. Pamiętam poszliśmy raz z Włodkiem do Swena do domu. Mieszkał w jakiejś suterenie w śródmieściu z żoną plastyczką, która wyrabiała gliniane figurki i z tego się utrzymywali. Parę takich figurek podarowała mi na pamiątkę. Sam Swen był wtedy chory i leżał w łóżku. Zrobił na mnie miłe wrażenie wrażliwego i niezaradnego człowieka. Włodek wydobył od niego tekst pisany prozą, przerobił ją na słuchowisko i nadał w radio. W ten sposób Swen otrzymał trochę pieniędzy. – Swen Czachorowski to wybitny poeta. Podczas okupacji stworzył wraz z Mironem Białoszewskim teatr, który nazwali „Swen" – powiedział Włodek – Teatr ten działał w konspiracji przez dwa lata. Był podobnie awangardowy jak późniejszy Teatr na Tarczyńskiej Mirona Białoszewskiego – dokończył.

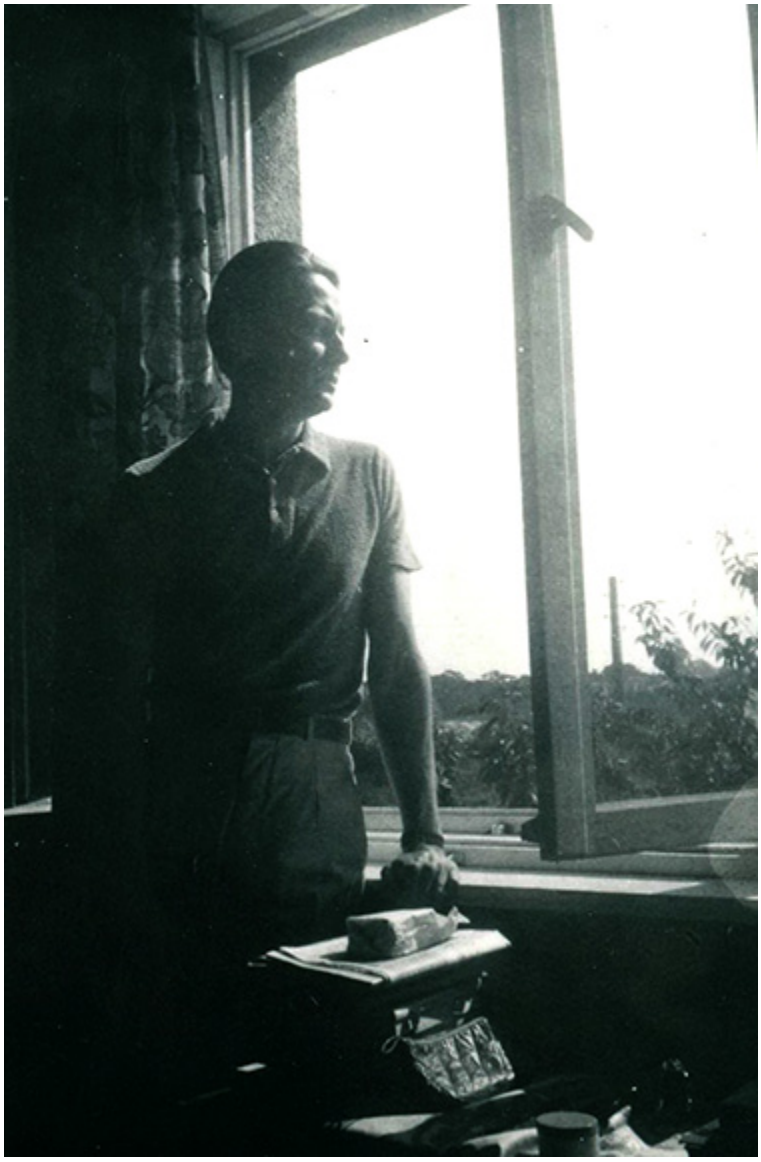
– Byłem w Teatrze na Tarczyńskiej w 1956 roku – odparłem – Teatr ten polecił nam, członkom STS-u nie kto inny tylko

minister Kultury i Sztuki Włodzimierz Sokorski. I muszę przyznać, że byłem bardzo rozczarowany widząc Białoszewskiego z wymalowaną twarzą jak igra ze słowami, które nic nie znaczyły. Wzburzony po tym przedstawieniu, które było według mnie bezideowe i o nic nie walczyło napisałem do STS-monolog „Wróżka" zaczynający się od słów: – Abra kadabra! Ale aleje leje jeleń! – i dalej w tym stylu parodiowałem Białoszewskiego. Dziś przyznaję się, że nie poznałem się na jego oryginalnym talencie. Poznała się na nim zaś moja węgierska tłumaczka Gracja Kerenyi, która o Teatrze na Tarczyńskiej napisała pracę doktorską. – No, widzisz! Zdarza się! Ale parodia znakomita. Ale aleje leje jeleń- powtórzył ze śmiechem Włodek.

Chętnie nadawał w swoim Studio Współczesnym innego wybitnego poetę lingwistę, którego znał jeszcze z czasów poznańskich – Tymoteusza Karpowicza. Karpowicz przesyłał mu swoje słuchowiska z Wrocławia: – No, jaki ten Karpowicz jest? – pytałem. – Za długi, czowieku! Pomysł kapitalny. Ale rzecz strasznie przegadana! Na dwie godziny grania. Będę ją musiał w domu przyciąć – mówił wkładając tekst do teczki. – Odwieziesz mnie? – spytał. – Jasne! – odparłem.

Jako nieliczny pracownik radia miałem swój samochód. Był to przedwojenny Citroen BL11, który kupiłem w 1959 roku podczas mojego pobytu we Francji. Miałem z nim mnóstwo kłopotów, bo

ciągle się psuł i musiałem oddawać go do warsztatów naprawy. Najczęściej wysiadały mu przednie przeguby, które trzeba było wymieniać. Kosztowało mnie to kupę forsy, ale i przyjemność była duża. Mogłem zadawać szyku przed kolegami. Kiedy więc przyjeżdżałem do pracy swoim czarnym bolidem, jak żartobliwie nazywał ten wóz Zygmunt Hertz z paryskiej „Kultury", to odwoziłem zawsze Włodka na Muranów, a potem jechałem do siebie na Żoliborz. Obydwaj zabieraliśmy teksty do zredagowania w domu, bo w radio w tym przeludnionym pokoju nie było do tego warunków. W związku z tym wywalczyliśmy u dyrektor Szenwaldowej prawo do późniejszego przychodzenia do pracy, bądź opuszczania niektórych dni. Przed naszym przyjściem do radia obowiązywała surowa lista obecności, którą podpisywało się po przyjściu do pracy przy strażniku o ósmej godzinie rano. Pobyt w redakcji trwał do godziny 16-ej. Pełne osiem godzin. My przekonaliśmy Szenwaldową, że nie jesteśmy urzędnikami tylko pisarzami i rozliczani powinniśmy być z tego co napiszemy i zredagujemy, a nie z tego, że przesiedzimy w redakcji przykładnie osiem godzin od dzwonka do dzwonka. Alina Szenwaldowa, inteligentna kobieta widząc, że mamy rację przystała na tą niepisaną umowę. W ten sposób często pracowaliśmy w domu, a w radio jeden drugiego zastępował. Jak Włodek był nieobecny, to ja załatwiałem jego interesantów.



Włodzimierz Odojewski, 1965 r., fot. arch. W. Odojewskiego

Byłem w lepszej sytuacji od niego, bo on pracował sam. Tylko przez krótki czas zatrudniony był na etacie Janusz Krasiński i Władysław Lech Terlecki. A w mojej redakcji urzędował przykładnie mój zastępca Andrzej Wiktor Piotrowski oraz Jadwiga Płońska – i oni mnie zastępowali. Obydwoje byli świetnymi redaktorami i zajmowali się adaptacjami powieści na słuchowiska. Andrzej jako wielki erudyta i mól książkowy wynajdywał interesujące teksty, robił też znakomite

faktomontaże. Zapamiętałem jego wstrząsający faktomontaż zrobiony w dwudziestą rocznicę Powstania w Getcie Warszawskim w 1943 roku. Andrzej wygrzebał ulotki i odezwy z tamtych czasów i wszystko to robiło duże wrażenie. Z czasem i oni nauczyli się przychodzić później do radia albo wręcz nie przychodzić – Jarosław! Czy pozwolisz, że ja jutro zostanę w domu, bo mam do zredagowania ważny tekst, a tu nie mam warunków!? – rzekł Piotr głęboko patrząc mi w oczy i gryząc wykałaczkę. Oczywiście zgodziłem się.

Jadwiga Płońska była rodowitą lwowianką i mieszkała we Lwowie do 1945 roku. W jej wymowie jednak nie było śladu lwowskiego akcentu. Była żoną starszego od siebie o wiele lat pułkownika Doriana Płońskiego, który zmarł przed paru laty. Miała z nim córkę Martę, kilkunastoletnią dziewczynkę. Jadzia były bardzo wesoła i towarzyska i przychodziło do niej do pokoju wiele przyjaciółek. Przede wszystkim Zofia Posmysz, która oprócz tego, że prowadziła redakcję „W Jezioranach" napisała świeżo słuchowisko „Pasażerka", w którym wykorzystała swoje doświadczenia w Oświęcimiu, do którego trafiła jako młoda dziewczyna. Wkrótce „Pasażerka" przerobiona została na widowisko telewizyjne, a następnie według tego scenariusza zaczął kręcić film młody i utalentowany reżyser Andrzej Munk. Nie zdążył jednak ukończyć filmu, bo zginął śmiercią tragiczną w katastrofie samochodowej w 1961 roku i „Pasażerkę" dokończył za niego jego przyjaciel reżyser Witold Lesiewicz. Po

powstaniu filmu „Pasażerka” stała się głośna i zrobiła międzynarodową karierę. Zainteresował się nią radziecki kompozytor Mieczysław Weinberg, który według jej libretta stworzył operę graną do dziś na całym świecie. Do Jadzi przychodził też często młody Józef Hen. Znał świetnie jej męża Doriana Płońskiego, który był redaktorem naczelnym tygodnika „Żołnierz Polski”. W tym tygodniku Hen pracował. Z racji tej wizyty Jadzia dała mi do czytania jego świeżo wydaną książkę „Więzień i jasnowłosa”, która zrobiła na mnie duże wrażenie.

Czasem tym moim bolidem robiliśmy krótkie wypady. Na przykład jechaliśmy do słynnej restauracji Berentowicza w Konstancinie na faszerowane kurczaki. Berentowicz słynął z nich jeszcze przed wojną. Ledwie usiedliśmy przy stole, a pod restaurację zajechał taki sam jak mój citroen tylko większy BL15 i wysiadł z niego otyły starszy pan z siwą grzywą lwa podpierający się dwiema laskami. Wywijając nimi dziarsko wmaszerował do środka: – Czowieku! – trącił mnie Włodek – Pacz! To Cat! Cat-Mackiewicz! Rzeczywiście był to on. Na jego powitanie wyszedł w kucharskim fartuchu właściciel restauracji Berentowicz i kłaniając się nisko powiedział: – Proszę bardzo, panie premierze. Do drugiej sali. Wszystko przygotowane! – To świetnie, kochasiu! – pochwalił go Cat-Mackiewicz z wileńskim akcentem i pomaszerował do sali obok. – Jesteśmy w dobrym przedwojennym towarzystwie, panowie – stwierdził Andrzej Piotrowski, czyli Piotr albo Pietruszka jak go

nazywaliśmy, i przypomniał, że w 1956 roku jak Cat-Mackiewicz przestał być premierem w Londynie i przyjechał do Polski, to w Gdańsku występował STS z „Agitką” i ktoś go przyprowadził na nasze przedstawienie. Cat przecierał oczy i nie wierzył, że taka wolność panuje w Polsce. Myślał, że to prowokacja i za chwilę będzie aresztowany – zachichotał Piotr.

Kelner przyniósł nam kurczaki i przystąpiliśmy do jedzenia. – No jak, panowie? – Cat-Mackiewicz wie co dobre. Ponoć jest wielkim smakoszem! – rzekł Piotr. – Wyśmienite! Czeba przyznać! – odparł Włodek i po tej przedwojennej uczcie kulinarnej w świetnych humorach wróciliśmy do domu.

Staruszka z Zamkowej 42



Wilno, ul. Zamkowa

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Przechodziłem obok niemal codziennie. Nie pamiętam, od kiedy zaczęło mnie intrygować skromne mieszkanko przy ulicy Zamkowej 42, *vis á vis* cerkiewki piatnickiej. Nie zwróciłbym chyba uwagi na to wcale, gdyby w tej części starówki nie zaczęła zachodzić wielka zmiana. Po otwarciu punktu usługowego Fuji Film – o jasnych kolorach, nieskazitelnym połysku okna-witryny, zainteresował mnie kontrast. Nie tyle między tynkiem, pełnym zacieków i liszajów, a odremontowanym kwadracikiem Fuji, co między sąsiadującymi ze sobą drzwiami. Jedne – eleganckie, przeszklone we wzorki, o lśniących klamkach, drugie – dosłownie

metr dalej – odrapane, ze szczelinami, drążonymi przez pazur czasu, poobijane, z powyginaną framugą, sterczącymi gwoździami, jakimś rdzawym żelastwem, które służyło za klamkę.

Wtedy i pojawiła się ciekawość dowiedzenia się, co się kryje za tymi szpetnymi drzwiami, za oknem, w którym kwitły pelargonie na tle zżółkłej firanki.

Mieszkankę tego kąta ujrzałem pewnego wiosennego, ciepłego popołudnia. Stara i zgarbiona, siedziała na mocno sfatygowanym, staromodnym krześle, owinięta chustą, patrzyła w dal. Ponad gwarny plac przed cerkwią, gdzie uliczni handlarze obrazami głośno i natarczywie zachwalali swój kiczowaty towar. Siedziała w otwartych drzwiach, obitych oberwaną miejscami ceratą, spod której wyłaziły kawałki brudnej waty. W drzwiach poruszała się na lekkim wietrze kotara o nieokreślonym, wypłowiałym kolorze. Na kolanach trzymała białego kota w czarne ciapki. Nie licząc ścian, w tym miejscu miasta kobieta tworzyła jedyny punkt nieruchomy.

Potem staruszkę, siedzącą na swym krześle, z nieodłącznym kotem na kolanach, w okresie letnim widywałem często, przez parę lat stale. Pojawiała się, kiedy świeciło słońce, czasami była opatulona w ciepłe łachmany. Szczelnie zawiązana chustka świadczyć mogła o chorobie uszu, wydawało się, że mogła mieć

problemy i ze wzrokiem. Była jakby nieobecna, niedzisiejsza, przypominała epokę, która dawno minęła.

Parę razy chciałem do niej zagadać. Kiedy raz powiedziałem „Dzień dobry", kobieta pozostała nadal nieruchoma jak posąg. W jej oczach jednak pojawił się niepokój. Nie ponawiałem więc dalszych prób nawiązania rozmowy. Czasem, kiedy przechodziłem obok i widziałem ją w tej samej zastygłej postaci, miałem wrażenie, że to fatamorgana, jaka nawiedza zakątki miasta, w których do późna płynie gwarny potok ludzki, gdzie nie ma miejsca na zatrzymanie się i chwilę zadumy. Żeby nie spłoszyć kobiety, pozdrawiałem ją z daleka kiwnięciem głowy. Choć trudno powiedzieć, czy choć raz odwzajemniła tymże, to w jej oczach już nie było niepokoju, jaki odczułem przy pierwszym powitaniu.

Tymczasem obok przybywało eleganckich biur, restauracji i kawiarni, sklepów z zagranicznymi towarami i napisami. Większość mieszkań zmieniła swych właścicieli, w tynkach pojawiało się coraz więcej odnowionych fragmentów. Miasto niczym ciasto pozyskało wiele słodkich dodatków, ale jakby bez kalorii. Pojawiały się wciąż sklepy o nowych zapachach, dekoracje w postaci sztucznych palm, innych egzotycznych roślin, znaki renomowanych firm w nocy rozświetlano kolorowymi światełkami, które odbijały się w lustrach witryn.

Staruszka nadal miała jedno swoje okno na świat. Z popękanymi, zakurzonymi szybami, lufcikiem, zamykanym na przedwojenny haczyk. Wciąż te same uporczywie kwitły pelargonie. Wciąż te same drzwi, w których siedziała na tym samym krześle, łączyły ją, a może oddalały ze światem zewnętrznym. Tak samo też była ubrana – ze swą nieodłączną chustą. I wzrokiem, utkwionym w dal.

Kiedy wróciłem z krótkiej podróży, przy Zamkowej 42 nie zobaczyłem dawnego, zastygłego w czasie widoku. W oknie, gdzie kwitły pelargonie, niczym na zdjęciu z kolorowego magazynu, w subtelnym oświetleniu ułożone były wyszukane akcesoria maleńkiego, lecz bardzo ekskluzywnego sklepiku z herbatą. Sympatyczna ekspedientka, kiedy wszedłem nareszcie do dawno obserwowanego pokoiku, z uśmiechem i pewna dozy kokieterii doradzała mi, jaką wybrać herbatę. Ostatecznie poprosiłem o pudełeczko Earl Grey'a. Dość długo i bardzo pięknie je opakowywała. Pomyślałem o starej brzydkiej kobiecie i nie potrafiłem już jej wyobrazić sobie mieszkającą w tym miejscu.

Czy ona kiedyś w ogóle tu była?



Wilno, ul Zamkowa. Dawna pocztówka.

Patrzymy na siebie

Jarosław Abramow-Newerly *(Toronto)*



Jarosław Abramow-Newerly (z prawej) z Włodzimierzem Odojewskim, który przyleciał do Toronto w 1995 r. odebrać nagrodę Fundacji Nelly i Władysława Turzańskich, fot. arch. autora

Fragment niepublikowanej nowej książki Jarosława Abramowa-Newerly'ego „Ich lwi pazur".

Poznaliśmy się z Włodzimierzem Odojewskim pierwszego kwietnia 1960 roku w sam Prima Aprilis, kiedy razem zaczęliśmy pracować w radio na ulicy Myśliwieckiej, ale ja o nim słyszałem już dużo wcześniej od mojego Ojca Igora Newerlego, który z ramienia Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich

opiekował się młodymi pisarzami. W związku z tą funkcją dość często jeździł do Poznania na spotkania z tamtejszym Kołem Młodych Literatów i jak wracał opowiadał o tamtejszych kandydatach na pisarzy, o co ja gorliwie go wypytywałem.

Chodziłem wtedy jeszcze do szkoły, ale bardzo interesowałem się młodymi, którzy w przyszłości chcieli zostać pisarzami – To kto według ciebie najciekawiej się zapowiada? – dopytywałem się. Wówczas zazwyczaj padało nazwisko młodziutkiego Edwarda Bernsteina (późniejszego znanego reżysera filmowego Edwarda Żebrowskiego), Piotra Guzego i Włodzimierza Odojewskiego. – Jeśli chodzi o Odojewskiego, synu – mówił Ojciec – to jego proza wyróżnia się elegancją. Jest potoczysta, trochę poetycka i opisuje ludzi, głównie chłopów Łemków z okolic Leska niezwykle prawdziwie. Myślę, że Odojewski dojrzał już do druku i będę rekomendował jego najnowszą książkę „Opowieści leskie" w wydawnictwie „Czytelnik" – oświadczył. Zapamiętałem ten tytuł i kiedy książka wyszła z ciekawością ją przeczytałem. – Świetnie chłop pisze – przyznałem mu w duchu – ma dopiero dwadzieścia cztery lata i tyle wie o starości i przemijaniu. Zadziwiające – zadumałem się.

Kiedy więc przedstawił mi się dość sztywno w tym pokoju radiowym: – Odojewski jestem – i wyciągnął do mnie rękę, – Abramow – uścisnąłem ją szybko. – Miło mi. Wiele o panu

słyszałem od Ojca. Poza tym czytałem „Opowieści leskie”. Bardzo dobre – dodałem. – Hm – zamyślił się – Tak pan sądzi? Naprawdę się panu podobały? – spytał. – Naprawdę – odparłem – To się cieszę – rozpromienił się i cała sztywność z niego opadła. Patrzył na mnie swymi przenikliwymi skośnymi oczami poczem dodał: – Ja pana pamiętam jeszcze w krótkich spodenkach jak przyjeżdżałem do was do domu na Żoliborz do Ojca – zaśmiał się. „ Tych krótkich spodękach” wymówił z nosowym „ę”, co od razu wychwyciłem. – To będziemy teraz razem pracować. Stół w stół – wskazał dwa biurka stojące pod oknem – Trzeba im się bardziej przyjrzeć – to „trzeba” wymówił jako „czeba” – i klepnął ręką w blat. – Które pan wybiera. To bardziej przy ścianie czy przy oknie? – spytał. – Wszystko mi jedno – odparłem. – „Jeźli” tak, to ja wybiorę to przy oknie – zadecydował i usiadł za biurkiem w krześle.

W tym pokoju radiowym oprócz nas dwóch pracowała jeszcze Zofia Doroszowa i Jadwiga Płońska z mojej redakcji. Redakcja ta nazywała się wtedy Teatr Młodego Słuchacza. Bardzo nie lubiłem tej nazwy kojarzącej się z teatrem dla dzieci i jak tylko zostałem kierownikiem redakcji (dotychczasowa kierowniczka pani Zofia Doroszowa odeszła do telewizji), zaproponowałem nową nazwę Radiowy Teatr Młodych, co zostało przez kierownictwo radia zaakceptowane. W ogóle ten rok 1960, kiedy zaczynaliśmy razem pracę z Włodzimierzem Odojewskim można uznać za rewolucyjny. Ówczesny Prezes Komitetu do Spraw Radia

i Telewizji Włodzimierz Sokorski oraz jego zastępca Henryk Werner, zadecydowali, że czas odmłodzić kadry radiowe i postawić na młodych. Popierali ich w tym dyrektor programowy Polskiego Radia Stanisław Stampfl oraz długoletnia dyrektor Naczelnej Redakcji Literackiej Programu I i II Alina Szenwaldowa. Wszyscy oni byli stałymi bywalcami Studenckiego Teatru STS, chodzili na wszystkie jego premiery i myślę, że tej sympatii do STS-u zawdzięczałem moją posadę. Wkrótce udało mi się wprowadzić do mojej redakcji kolegę z STS-u Andrzeja Wiktora Piotrowskiego, wielkiego erudytę i ciekawego człowieka, męża Olgi Lipińskiej, który w radio pozostał już do końca życia. Umarł przedwcześnie na raka w 1996 roku.

Jeśli chodzi o Włodzimierza Odojewskiego to on też zaproponował nową nazwę – redakcja słuchowisk Studio Współczesne Teatru Polskiego Radia. Przedtem taka redakcja w ogóle nie istniała i on ją od podstaw stworzył. Starał się też, tak jak ja, wprowadzić do radia swoich z kolei przyjaciół, młodych prozaików tak, że wkrótce w jego redakcji zaczął pracować Janusz Krasiński i Władysław Lech Terlecki. Jak z tego opisu widać, nasz pokój radiowy był przepełniony, stało tam pięć biurek i jak przychodzili do pokoju zaproszeni goście, to żeby móc swobodnie porozmawiać schodziło się w podziemiach do radiowego bufetu, który był swoistą kawiarnią literacką. Już w parę dni po objęciu przez nas nowych posad w tym właśnie bufecie Włodzimierz Odojewski oświadczył uroczyście: – Jako

„czowiek” starszy od Pana proponuję wypić bruderszaft. Włodek jestem! – Jarek! – ucieszyłem się – Ten w krótkich „spodękach” – dodałem zaraz, przedrzeźniając go i wyściskaliśmy się z dubeltówki. W tym bufecie radiowym jedliśmy zazwyczaj obiad i spotykali bądź z zaproszonymi gośćmi, bądź z kolegami z innych redakcji. Kiedy w pokoju nie było czasu na zejście do bufetu zamawiało się u sprzątaczki pani Zosi kawę „plujkę” albo herbatę ulung. Ona w rogu na korytarzu miała czajnik z wodą i swój mały, prywatny biznes.

Przed naszym przyjściem do radia było bardzo mało oryginalnych polskich słuchowisk. Tyle co wcale. Śmiałem się, że na przedwojennym słuchowisku „Zegarek” Jerzego Szaniawskiego napisanym bodajże w 1925 roku się skończyło. Powszechnie królowały adaptacje, to znaczy przeróbki książek na słuchowiska. Zajmował się tym redaktor Klemens Białek, bardzo godny pan w sile wieku, który przed przyjściem do radia pracował w ministerstwie Kultury i Sztuki i żartowano, że analiza wykazała ślady Białka oraz dwie przemiłe Zofie. Zofia Orszulska i Zofia Zawadzka. I chociaż była specjalna redakcja adaptacji radiowych obydwie Zofie siedziały przy biurkach w naszym pokoju. Zagęszczenie więc biurek było wielkie. Mała i skromna Zofia Zawadzka, która jak głosiła legenda, była bohaterską sanitariuszką podczas Powstania Warszawskiego, zwykle mało mówiła i w skupieniu czytała teksty, natomiast Zofia Orszulska, polonistka na tajnym Uniwersytecie Warszawskim i

również uczestniczka Powstania Warszawskiego mówiła chętnie i dużo. Słuchaliśmy z Włodkiem jej opowieści z dużą ciekawością. Od niej dowiedziałem się, że jej kolegą na tych tajnych kompletach był Stanisław Frybes, który wykładał u mnie na polonistyce i prowadził pierwszy inauguracyjny wykład na Uniwersytecie Warszawskim.

Jak już wspomniałem oryginalnych słuchowisk nie było i aby je zdobyć organizowane były konkursy radiowe. Najczęściej miały one rocznicowy charakter, ale myśmy się tym nie przejmowali i wspólnie z Włodkiem układali listę zaproszonych autorów. On wstawiał swoich przyjaciół poetów i prozaików, a ja swoich. Zachętą do pisania dla radia była duża zaliczka pieniężna, tak zwane vadium, które wynosiło 3000 złotych co równało się wówczas dwóm moim redaktorskim pensjom. W razie nie napisania słuchowiska trzeba było zwracać vadium, czego nikt nie chciał robić i teksty na konkurs napływały obficie. Dla mnie osobiście ten pierwszy konkurs był ważny, bo po raz pierwszy pisałem poważny tekst, a nie satyryczny skecz. Moje słuchowisko „Zasada" rozgrywało się podczas okupacji i współcześnie i dotyczyło sprawy głównego bohatera „Zasady" – taki był jego okupacyjny pseudonim. W jury zasiadali znani dramatopisarze i o tym, że na tym konkursie zdobyłem wyróżnienie zawiadomił mnie telefonicznie mój sąsiad z podwórka poeta i dramatopisarz Aleksander Maliszewski, który patronował mojej wczesnej twórczości.

To wyróżnienie bardzo mnie podbudowało, słuchowisko wyreżyserował świetnie Jan Świderski, a w obsadzie znaleźli się młodziutcy aktorzy Adrianna Godlewska i Krzysztof Kowalewski. I chociaż Włodek nie zdobył żadnej nagrody w tym konkursie, kiedy mu o tym powiedziałem radośnie wykrzyknął: – „Czowieku"! To wspaniała wiadomość. Bardzo się cieszę! – i bez cienia literackiej zawiści serdecznie mi pogratulował, co z wdzięcznością zapamiętałem. To słuchowisko miało swój dalszy ciąg. Wysłuchał je bowiem Tadeusz Kubalski, dyrektor Teatru imienia Bogusławskiego w Kaliszu i zaproponował mi, żebym je przerobił na sztukę teatralną. W ten sposób dzięki radiu znów trafiłem do teatru i świętowałem w 1962 roku prapremierę „Zasady" w Kaliszu w reżyserii Zbigniewa Besserta.

Ten początek radiowej znajomości, która bardzo szybko zmieniła się w trwałą przyjaźń sprawił, że Włodek Odojewski stał się dla mnie najbliższym doradcą literackim, z którego zdaniem niezwykle się liczyłem. A miał olbrzymią kulturę literacką, świetny smak i wielki talent redaktorski. Robił w tekście znakomite skróty i poddawał ciekawe pomysły. Pod jego przyjaznym okiem dojrzewałem jako autor słuchowisk radiowych i sztuk teatralnych. Ja z kolei odwdzięczałem mu się swoimi uwagami o jego tekstach, które dawał mi do czytania. Był rasowym prozaikiem, ze świetnym warsztatem literackim, który po mistrzowsku operował strumieniem świadomości i przestawienie się na dramaturgię, zwłaszcza na początku pracy

w radio, przychodziło mu z trudem. Dialog pisany różni się od dialogu mówionego i trzeba się go po prostu nauczyć. Ja pod tym względem miałem większe doświadczenie zdobyte w STS-ie i chętnie udzielałem mu rad, które z wdzięcznością przyjmował. Był bardzo pojętnym uczniem i szybko z prozaika wyrósł na radiowego dramaturga. Jest inna sprawa, że jego teksty były bardzo finezyjne i wymagały wyśmienitego aktorstwa. Przykładem było jego słuchowisko „Patrzymy na siebie". Zostało przesłane do Teatru Polskiego Radia, który mieścił się w drugiej części gmachu i zrealizowane. Obydwaj uczestniczyliśmy w tym przesłuchaniu i byliśmy przerażeni – Nudy na pudy. Zamordowali mi tekst. To „Paczymy na siebie" nie do słuchania! – stwierdził zgnębiony Włodek. – Zgadzam się. Nic z twojego tekstu nie zostało. Okropne – przyznałem.

Przysłuchiwał się temu Jurek Markuszewski, już wtedy dyrektor Teatru Polskiego Radia, i rzucił: – Dobra, panowie. W takim razie nagramy to jeszcze raz. W nowej obsadzie, proponuję. Zgodziliśmy się z ulgą. Jurek sam to wyreżyserował, a do studia zaprosił Alinę Janowską i Edwarda Dziewońskiego. Oni teraz patrzyli na siebie i ten małżeński dialog między sobą prowadzili. I nagle tekst zaczął błyszczeć, dialog iskrzył się humorem, nie było cienia nudy i żałowaliśmy, że wszystko tak szybko się skończyło. Trudno było uwierzyć, że to ten sam tekst. Tak, że była to dla nas wielka lekcja radiowa.

Druga część ukaże się w piątek 3 stycznia 2020 r.

Wojna i kwiat pomarańczy

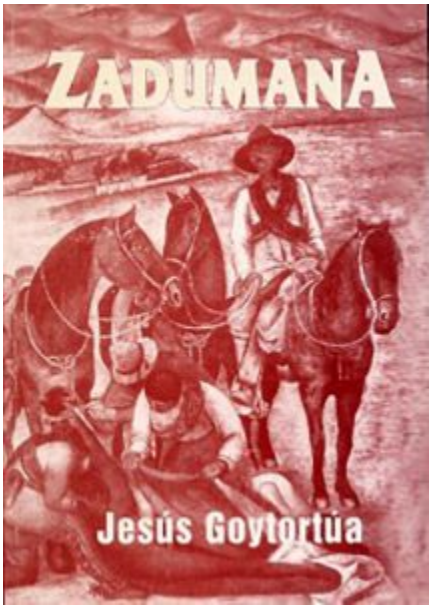


Maria Piotrowska

Chociaż Meksykanin Jesus Goytortua nie jest pisarzem, który

dorównywałby klasą latynoamerykańskim pisarzom tej miary co Julio Cortazar, czy Gabriel Garcia Marquez, to jego proza tradycyjna i bezpretensjonalna, z tym większą siłą opanowuje wyobraźnię czytelnika wciągając go w świat pasjonujących zdarzeń, niezłomnych charakterów, pierwotnej przyrody, graniczących sytuacji moralnych i najczystszej liryki. Egzotyka tego świata, jego swoistość, narzucić się musi ze szczególną ostrością czytelnikowi polskiemu, który otrzymał polski przekład napisanej przed pięćdziesięciu laty książki Goytortui „Pensativa". Jej kanwą jest burzliwy okres historii Meksyku: lata dwudzieste i trzydzieste dwudziestego wieku, gdy toczyła się krwawa wojna domowa między wyznawcami wiary katolickiej (cristeros), a wojskami rządu broniącego zapisów konstytucji z roku 1917, które godziły w duchowieństwo i Kościół. Dwoje protagonistów powieści-tytułowa „Zadumana" Gabriela Infante oraz młody prawnik-ziemianin Roberto, są upostaciowaniem wyzwolonych przez bratobójczą wojnę obcych sobie sił, które z bezwzględną koniecznością determinują ich los. Miłość Roberta do Gabrieli Infante wybuchnąć musiała: bohaterka jest piękna i otoczona famą cnoty i prawością uroku. Głębi dodaje jej osobista tragedia, męczeńska śmierć brata, przywódcy cristeros, tajemniczość, w jakiej się pogrąża żyjąc wśród wiernych ex-powstańców na zrujnowanej hacjendzie, resztce świetności rodzinnej, wreszcie niejasny, ukrywany przez otoczenie udział w wojennych wypadkach. Ale oto bieg wydarzeń aktualnych oraz ukazanych w retrospekcji, odsłania przed Robertem całą prawdę

o „Zadumanej”: Gabriela Infante okazuje się słynną Panią Generał, podobnie jak jej brat, nieustraszoną przywódczynią cristeros, zdolną do wyrachowanej mściwości i w imię praw wojny akceptuje okrucieństwo głuche na błagania o litość. Na stronę wydarzeń wkraczają upiory krwawej przeszłości. Przerażenie i odraza Roberta (to kobieta ociekająca krwią) biorą górę nad miłością: ceremonia ślubna, do której oblubienica przystroiła już głowę pomarańczowym kwieciem, zostaje odwołana: bohater, człowiek słabego ducha, ściąga na siebie nienawiść zawziętych ex-cristeros. Następuje katastrofa. Życiowo przegrywają oboje: ona chroni się za klasztorną kratą, on wraca do dawnego „sztucznego” życia w Mexico City, skazany na mękę wspomnień i niewczesny żal. Moralnie zdaje się wygrywać Gabriela Infante dzieląca z innymi cristeros przekonanie, że obrona wiary jest obowiązkiem dającym prawo do przelewu krwi i okrucieństw (miecz świętego gniewu jest błogosławiony), ale jeżeli się z tych zmagań wyszło się cało, cierpienia zadane współbraciom okupić trzeba ascezą, W ten sposób życie realizowane staje się legitymacją poglądów. Natomiast pogląd Roberta, że bratobójcza wojna jest tragicznym błędem, a okrucieństwa nie da się niczym uzasadnić – znajduje swoje usprawiedliwienie tylko w jego osobistej wrażliwości.



Czytelnik świadomy stylu jego wcześniejszego życia w Mexico gotów jest nawet zadać sobie pytanie: a może to tylko słabe nerwy i czy można żądać od historii powszechnej, by respektowała nakazy Ewangelii? Ale bohater powieści Goytortui cierpi i wśród tych cierpień kocha nadal, a z tego cierpienia, z tych uczuć i tej wrażliwości autora niewątpliwie się utożsamia. Narracja w pierwszej osobie ma charakter personalny, wyrasta powieść, danie świadectwa i wywyższenie heroizmu. Spisane przez Roberta wyznania ratują powstańcze cnoty przed zapomnieniem. Ostatecznie w obliczu ryzyka ran i śmierci tylko twórcze zmagania i ich rezultat: opowieść-świadectwo, okazują się legitymacją potępienia walk w imię osobistej wrażliwości – tylko one.

W Posłowiu autor polskiego przekładu, Florian Śmieja, włączył powieść Goytortui do nurtu literatury popularnej. Taka w istocie jest ta powieść, gdyż z odmową eksperymentowania łączy się

pewna szkicowość, a niekiedy nawet zdawkowość dialogów, a także prostota monologu wewnętrznego, który dopiero pod koniec pogłębia się i indywidualizuje. Jest jednak w tej książce obecna pewna stała wartość, bez której nie byłaby ona sobą i gdzie Goytortua okazuje się prawdziwym „małym mistrzem”: jest to niezrównana sugestywność świata przedstawionego. Są to wnętrza mieszkalne, ledwie zarysowane, gdzie nie tyle piękno, co charakter przedmiotów zapada w pamięć:

> pogrążone są one w przeróżnych odmianach światła, w przedziwnej symbiozie z rozpościerającą się tuż za progiem naturą, która żyje, mieni się niuansami barw i światłocieni, przemawia różnorodnymi głosami i szeptami. Rzadko przybierając kształty oswojone. Jest ona z reguły dzika i zmusza wędrowców do poświęcania jej więcej uwagi: o zmierzchu ulewa czyni bowiem krajobraz niewidocznym i jeźdźcy zdawać się muszą na instynkt koni, za to następnego ranka zieleń staje się intensywniejsza, ziemia dymi w żółtawym słońcu, a najmniejszy podmuch wiatru przynosi deszcz szeleszczący w gałęziach. W zakamarkach skał wody rzeki huczą i szemrzą, ich kolor zmienia się wraz z ruchem obłoków na niebie, a poprzez gałęzie, od którymi zbiera się ciemność, widać góry, gdy nie giną one za woalami mżawki, wydają się pełne gróźb, nieprzyjazne, wiodące utajone gwałtowne życie, i nic dziwnego, że miejsce, gdzie dokonały

> się zdrada i zbrodnia, tchnie pustką i grozą. Kojoty i węże pierzchają przed zabłąkanym przybyszem a zawodzący wiatr miota zaroślami zrywając leśne kwiaty.

Niektóre zwroty ostatniego akapitu, a ściślej, jego końcowego fragmentu, czerpię *in crudo* i na wyrywki z tekstu powieści, gdyż tylko w ten sposób mogę czytelnikowi zaanonsować piękno polskiego przekładu Florian Śmieji. Ta polska proza płynie nurtem silnym i pewnym, choć niekiedy pełnym skrywanego niepokoju, który jest zapowiedzią nadciągających zdarzeń. Jej bogactwo leksykalne i jakość językowych formuł wyczarowują ową niepowtarzalną rodzajowość w opisie ludzkich siedzib i niczyjego, posępnego krajobrazu. Rodzajowość egzotyczną tam, gdzie do otoczonych krużgankami patios prowadzą eukaliptusowe aleje, zaś bliską i stale taką samą, wtedy gdy wzrok pada na wyścielane krzesełko przy oknie, ręka podaje chorej szklankę mleka, a przed dom wybiega z latarnią chłopiec, by wskazać podróżym ścieżkę prowadzącą do drzwi.

Jesus Goytortua: Zadumana (Pensativa). Z języka hiszpańskiego przełożył i posłowiem opatrzył Florian Śmieja. Wydawnictwo Wacław Bagiński, Wrocław 1997.